

Halina Krzyżanowska

ROZMOWY Z NIEOBECNYMI

MONODRAM RADIOWY

Plan nierealny. Efekty odległe, zniekształcone.

ONA Kto to? Kto puka do drzwi? To ty? Czemu nie dzwonisz, jest przecież gong. Powieszę ci płaszcz na wieszaku... Pachnie jak zwykle Antilope, Veila. Tu, na lewo. Na prawo są dwa pokoje w amfiladzie i kuchnia. Przedtem miałam jeszcze jedno mieszkanie, którego już nie znałaś, przejeżdżały koło niego pociągi, bo obok był nasyp kolejowy, w lecie nie można było tam wytrzymać. Wchodźże... Tak ciężko dyszysz... Zmęczyłaś się... Jak tu dojechałaś? Ach, prawda, jest przecież autobus. Bezpośredni, z domu pod dom. Albo prawie z domu pod dom, musiałabyś przejść kilka kroków, dosłownie kilka kroków i tam jest pierwszy przystanek. Siadaj. Nie możesz złapać tchu? Otwórzę okno. Czujesz zapach pól? Dalej po drugiej stronie szosy są już pola i teraz tak pachną, zwłaszcza wieczorami. Tak, droga do mnie jest brzydka, smutne wieżowce, kamienna pustynia. Ale na lewo od miasta, po mojej stronie, zachowały się jeszcze małe domki, wille, potem na wiosnę jest tyle kwiatów w ogródkach. Zauważyłaś te domki jadąc autobusem... Teraz przy twoim statusie miałabyś już auto. Teraz tak wiele osób ma już auta. Może to byłby maluch, a może coś większego. Tak kaszlesz... Przykryję ci plecy twoim moherowym szalem, pachnie jeszcze Antilope... Zakrztusiłaś się... Odetnij głębok. A może przymknąć okno? Te pierwsze powiewy są bardzo zdradliwe. Nie? Wiem, że lubisz powietrze, potrzebujesz dużo powietrza. Już papieros! Zaczekaj, podam ci ogień, nie szukaj w torbie zapalniczki. Lubię tam zaglądać ze względu na panujący w niej porządek, u mnie jest zawsze bałagan, chustka skrecona i wymięta, a twoja zawsze wygląda jak świeżo wyjęta z szafy. Naszykuję ci coś do jedzenia. Twoja matka czeka z obiadem? Pamiętam jej uroczą buzię, bo to była buzia, buzia dziewczynki, i ten filuterny uśmiech. Tak, z mamy był wielki kokiet i filut, pewnie dlatego, że całe życie otoczona była ciepłem i kochana. Nieraz nachodzi mnie myśl, że gdyby mama przy tobie została, to i jadałabyś lepiej, i miała właśnie to ciepło, o które tak chodzi. A potem to przejście z twoją bratową... Czy wiesz, że ona nie żyje, a twój brat ożenił się z dużą blondynką, taką, jakie mu się zawsze podobały? Mówiłaś kiedyś, że bał się twojej kościstej bratowej i nie pozwalał sobie na żadne romanse na boku. Póki żyła. Ale zdążyła cię przedtem tak brutalnie odepchnąć. Nie, naprawdę, nic nie szykuje. Wstałam, bo chciałam, żebyś się ze mną przeszła po mieszkaniu. Tak, teraz powodzi mi się znacznie lepiej, ale moje życie nie ma korzeni, wróżby kłamia i nic nie będzie wypełnione do końca. Ta fotografia to dziecko Agnieszki. Agnieszka wyszła drugi raz za mąż i ma tego chłopczyka. Nie, nie jest szczęśliwa, w gruncie rzeczy jak się tak przyjrzeć, mało jest szczęśliwych małżeństw, rzadko zdarzają się takie, jak twoje. Gdyby twój mąż nie umarł tak wcześnie, to może i ty... Czy wiesz, któregoś dnia włączyłam telewizor i zobaczyłam ciebie. To było powtórzenie, któreś tam z rzędu, widać było mało, bo wtedy nie było jeszcze

dobrego zapisu. Grałaś jedną z dwóch sióstr, starych panien, Konstancję czy Franciszkę, w „Córkach zmarłego pułkownika” Katarzyny Mansfield. Uderzyło mnie wtedy, że miałaś w sobie coś z bezbronności twojej matki i z jej słodczy. To była twoja najlepsza rola, jaką widziałam, kto wie, czy nie lepsza od tej ostatniej w teatrze. Wolalabym, żebyś nie wiedziała, że już nazajutrz po tym, kiedy to się z tobą stało, a raczej jeszcze nie stało, ale nie mogłaś już przyjść, twoje koleżanki rzuciły się na nią jak harpie. To prawda, że sztuka była w repertuarze, a ty odeszłaś tak nagle... Więc każda z nich myślała, czemu to ja nie miałabym zagrać, skoro ona i tak nie może. Tylko po co tyle brutalności! Potem na tę, która zwyciężyła, trzeba było poszerzać twój kostium, zresztą na każdą z nich trzeba by było rozpuszczać go w szwach, miały już swoje lata: nie każdemu się tak udaje jak tobie. Ale jesteś za szczupła... I ten kaszel... Nie, nie zamykam okna, wiem, że potrzebujesz powietrza, dużo powietrza. Czy miałaś go dosyć pod namiotem tlenowym, pod którym już cię nie widziałam. Powiedziano mi, że dusiłaś się kilka dni, pięć albo sześć... Tak bardzo chciałabym cię uspokoić, upewnić, że gdybyś poszła na czas do lekarza, i tak już nic by to nie zmieniło. Ciebie upewnić, a może i siebie...

Odległy, zdeformowany ton muzyczny, ten sam co przed każdą kolejną rozmową z kapitanem Asem.

„Nazywam się kapitan As. Rzucam butelki zapalające na czołgi. I umiem być szybki jak błyskawica, umiem także być niewidzialny. To przez to, że jestem chudy i wlezę w każdą dziurę. Ile mam lat? Już prawie dwanaście. Nie, ze Starówki. Dlatego idę z Powiśla, że tam mieliśmy akcję. Teraz muszę wrócić. Pani też? Niech pani nie wychyla głowy z bramy, bo na rogu Bednarskiej sterczy na strychu gołębiarz. Jak będziemy robili skok na drugą stronę ulicy, pani pamięta lecieć zakosami, żeby on nie dał rady się wstrzelić. Tak, w tym miejscu jezdni Krakowskiego jest bardzo szeroka...”

Teraz, kapitanie As, przez tę jezdnię ciągną sznury aut, jedno za drugim. Po chodniku idą zaafelowani ludzie, a domy wokół są nie tknięte, bez szczerb i wyłomów. Tam dalej na prawo stoi już Zamek. A młodzież, której tu pełno, wychodzi przeważnie z Dziekanki. Wyszła z niej dziewczyna i chłopiec, teraz idą wpół objęci, zaraz zaczną się całować, taki teraz zwyczaj całować się nie zwracając uwagi na nikogo. Czasem się zastanawiam, czy i ty siedziałeś tak potem z jakąś dziewczyną? Wyciągnę moje kipu. Co to kipu? To różnej długości różnokolorowe sznurki z supami używane kiedyś, przed wielu wiekami do rachunkowości, a także do zapamiętywania ważnych wydarzeń. Obmacuję następny węzełek, żeby za chwilę przypomnieć sobie kolejne z tobą spotkanie i postawić jeszcze parę pytań, które nieraz chodzą mi po głowie.

Odległy zdeformowany ton muzyczny.

Gruby, piegowaty palec stuka w karty. „Cztery, pięć, sześć, siedem, osiem: walet kier, cały zwrócony ku tobie. Cztery, pięć, sześć, siedem, osiem: pieniądze, duże pieniądze... Serce ci zaspokoi: miłość — westchnienie, może dlatego, że tak mało jest powietrza w tym szczupłym mieszkaniu... Czego nie wiesz — głęboka bruzda przecina poorane czoło pod strzechą farbowanych włosów — nie wiesz o czymś uczuci dla ciebie... Moja kabała prawdę mówi! Czego się nie spodziewasz: nie spodziewasz się spełnienia wszystkich twoich marzeń. Wszystkich! Pamiętaj nie dziękować. Za kabałę się nie dziękuje. Ale jeszcze musisz pójść do ślepej Zeni. Ślepa Zenia wie wszystko i nigdy się nie myli, ona nawet powie ci, co kto myśli i gdzie się znajduje. Przeszłość i przyszłość. Już się różnym osobom spełniło, chodziły do niej wiele razy; z początku nie wierzyły, a potem im się posprawdzało, jednej po drugiej. Teraz chodzą do niej po radę w każdej sprawie. Z dłoni. Nie, nie widzi nic, tylko dotyka dłoni, chwilę trzyma ją w swojej a potem zaczyna mówić. Nie każdemu chce, są tacy, których odprawia, ale mnie jeszcze nigdy nie odmówiła. Można też przynieść jej przedmiot, należący do tego o kogo chcesz zapytać, to bardzo pomaga. Co mi powiedziała? Ze Saszka cały myśлами przy mnie. Tylko jeszcze nie ma odwagi. Rzeczywiście, on jest bardzo nieśmiały. Powiedziała, że widzi go w moim towarzystwie. No tak, pracujemy w jednym biurze, ale w innym pokoju. Co prawda rzeczywiście coraz częściej do mnie wpada i wtedy potrafi zasiedzieć się nawet godzinę. Ale ona wczoraj oświadczyła,

że widzi go u mnie w domu. I co powiesz — zaprosiłam go. Przyjdzie. Musisz do Zeni pójść także. Boisz się, że ci powie coś złego? Ty przecież wiesz, że czeka cię świetlana przyszłość... świetlana..."

Zakłada nogę na nogę, kiedyś były to piękne nogi, teraz są cienkie i dźwigają ciężkie ciało. Podobno kiedyś przed wojną wygrałaś konkurs na najpiękniejsze nogi. Nigdy nie byłaś ładna, ale mężczyźni latali za tobą jak szaleni. Kawiarnia, dancing, krawcowa, bardzo zapracowany mąż, duże pieniądze, romantyczne randki...

A teraz widzę cię na ulicy w zalotnym kapelusiku, który osłania twoją wielką twarz. Czujesz się młoda, pociągająca, wiotka. Ta kurtka to nie ordynarne tworzywo, to cienka, miękka skórka, a kapelusz jest prosto z Paryża. Słońce bezlitośnie obnaża twoje braki. ale jest to ciągle słońce twoich dwudziestu lat. Próbujesz ruszyć tanecznym krokiem, potknęłaś się, nic to, to tylko przypadek, nierówność bruku, bo przecież ty jesteś zręczna; zręczna i szybka, świat jest piękny, za progiem czeka nieznane... wspaniałe... oszałamiające... upajające...

Chociaż Saszki naprawdę wcale nie było, nikt taki nie pracował w twoim biurze i nikt do ciebie nie przychodził, oprócz kilku starych przyjaciółek. Powiedziała mi to jedna z nich, która zjawiała się po rzeczy, kiedy w twoim mieszkaniu już nikt nie podnosił słuchawki telefonu. A te kobiety przychodziły pewno także po kabałę, tak jak ja.

Bo przecież kabała to magia słów, które przynoszą spokój jak przesuwanie paciorków różańca, lub słowa litanii. Więc chcę ci powiedzieć, że właśnie ta świetlana przyszłość, o której ciągle była mowa, pomogła mi wtedy przezwyciężyć najgorsze.

Odległy, zdeformowany ton muzyczny, ten sam, który poprzedza zawsze spotkanie z kapitanem Asem.

„Ach, to pani? Zaraz panią poznałem, mimo że tak ciemno w tej piwnicy; my przecież staliśmy wtedy razem w bramie na Krakowskim, pamięta pani? Pani mówi, że widziała mnie jeszcze raz potem, pod sam koniec sierpnia, jak wylaziliśmy z kanału. Pamiętam, wracaliśmy wtedy z akcji, nie była udana, tytuł tam naszych zostało. Ale ja pani nie widziałem, nic się nie widzi, jak się stamtąd wyjdzie, a wtedy przecież taka była luna — paliły się wokół domy; jasno było jak w dzień. Przysiadę obok pani na skrzynce. Pani na kogoś czeka? Ja także. Mam się tu spotkać z takim, co mi przyniesie granaty. Nie, nie potrzeba, pani sama zje kartofla, ja nie jestem głodny. Na podwórzu obok nas kobiety rozdawały zupę; zdążyłem zjeść. Bo zaraz potem szafa walnęła w ścianę kamienicy i wszystko zasypało. O, znowu to samo. Pani zatka uszy, bo podobno można ogłuchnąć! Ale rąbnęło! I jeszcze raz... Uff... tyle kurzu w powietrzu... to musiało być także niedaleko. Pani jest cała ubielona... i moja panterka też... O, jeszcze bliżej... Całą dzielnicę zburzyli. Teraz skończyło się z czołgami, już tylko poluję na Goliaty. Wcale nie tak trudno je załatwić, jak się ma celne oko. No tak, i jak się jest niewidzialnym! Rzuca się granatem w kabel, a potem można minę ostrożnie rozbroić. Cztery czołgi załatwiłem i dwie miny, więc jeszcze cztery. Razem musi być dziesięć. Rodzice? Ja ojca nie mam, po tym, jak to się z nim stało, matka wyjechała z małą siostrą na wieś, a ciotka i ja zostaliśmy, żeby pilnować mieszkania. Ale nie wiem, co z tym wszystkim, bo tam nie byłem od trzeciego sierpnia, a teraz przecież jest wrzesień. Mówią, że Powstanie się kończy — pani w to wierzy? Ja nie. Ja jeszcze muszę sprzątnąć te cztery Goliaty. Żeby razem z czołgami było dziesięć. Dlaczego? Za każdy dzień, co ojciec siedział na Pawiaku. Dziesięć dni siedział. Więc za każdy dzień jeden czołg albo mina. Potem? Potem go rozstrzelali”.

Odgłosy, zdeformowany ton muzyczny.

„Najlepsze życzenia, panie Profesorze. Tu są kwiaty. Och, jaka szkoda... strasznie przykłyby na mrozie. Ten sztucznie pędzony bez szybko wiednie. Może Olesia coś z tym będzie umiała zrobić, ona się zna na wszystkim. Miałam stracha, że się spóźnię, a widzę, że jestem pierwsza. Czemu macha pan ręką — przyjdą przecież wszyscy moi koledzy i ci nowsi pana uczniowie. Podobno oni także pana wielbili, zwłaszcza dziewczyny. Niech pan nie udaje, ten uśmiech świadczy, że dobrze pan o tym wie. Już siadam. Dobrze, tu w fotelu naprze-

ciwko pana. Oho, Martelli! Pana zdrowie! Czy pan wie, co mi się nagle przypomniało? Jak przyszedł po raz pierwszy na pana wykład, wtedy w czasie wojny, i pan zapytał mnie zniecierpliwiony, czy wiem, co przedstawia tkanina królowej Małgorzaty... ta z Bayeux. Wiedziałam! Naprawdę! Tylko mnie zamurowało, wykonywałam rękami jakieś bezradne gesty. I teraz potrafi mnie pan zbić z tropu. Wtedy ten wykład był o Rafaelu z Urbino. Tak, nie mylę się, świetnie pamiętam. I powiedział pan, że jego Apollo grający na lirze trzyma ją w sposób niezgodny z techniką gry, bo gdyby tak było naprawdę, to ręce by mu zemdlały, zresztą w ogóle byłoby trudno wydobyć ze strun coś sensownego. Zawsze pan nam potrafił przybliżyć te wszystkie arcydzieła, inni robią z tego całe nabożeństwo. Koniaku? Dobrze, ale to na razie ostatni, bo będzie pan jeszcze musiał pić z innymi. Gdyby się pan nie zdecydował na tę wcześniejszą emeryturę, na pewno nie potrzebowałby pan się w niczym ograniczać ani słuchać lekarzy. Jeździ pan teraz codziennie do Powsina? Tam już wszystko zrobione? Nie, lepiej nie mówmy o tych sprawach, to dlatego, że pan sam wspominał. Ktoś dzwoni... A nie, pomyliłam się. O, co za wspaniały zapach! No niech pan nie krzyczy na Olesię, wystarczy uchylić drzwi od kuchni, żeby się rozeszło po całym mieszkaniu. Ależ nie, nie jestem głodna, zaczekam na wszystkich. Już ktoś idzie po schodach. Nie... poszedł dalej. A kiedyś, pamięta pan? Powiedział nam pan, że policzono skrupulatnie ręce i nogi ludzi na jakimś znanym obrazie i że bilans się nie zgodził, bo tych kończyn było znacznie więcej niż trzeba... O, teraz to już na pewno ktoś przyszedł. To tylko dozorczyńni z jakąś sprawą do Olesii? Ale jeszcze nie zaczynajmy. Wszyscy są teraz tacy zajęci i dlatego się tak spóźniają. We trójkę? Ależ tak, oczywiście, ja Olesię ogromnie lubię. Spodobała mi się już wtedy, kiedy po raz pierwszy otworzyła mi drzwi do pana mieszkania. Olesiu, pani Olesiu, niech pani tu przyjdzie! Niech pani siądzie z nami, wypijemy zdrowie pana Profesora! Potem byłam u pana jeszcze raz, albo dwa razy, potem doszły mnie wiadomości o pana chorobie, ale nie chciał pan widzieć nikogo. Później chciał mnie pan nagle zobaczyć. Nie poszłam zaraz, taka była zaabsorbowana, tyle miałam swoich spraw na głowie. A potem było tyle mów i tyle wiązanek i tyle wieńców i prawie wszyscy pana-uczniowie, tak miło okazać żal po odejściu ukochanego profesora.

Może gdyby żył pan Jurek, to nie odwróciłby się pan tak od świata. Jurek, który rzeźbił figury świętych i poszedł do Powstania wbrew sobie, z obowiązku. Wycofali się potem z miasta i Niemcy otoczyli ich w lasu. Przejeżdżam często koło tych białych grobów w Powsinie. Nie wspominajmy o tym. Zawsze miał pan łzy w oczach, kiedy padało to imię, straszne jest widzieć łzy w oczach opawanego, eleganckiego pana. Prędko zmieńmy temat. Czy pan wie, że wszystkie podkochiwałyśmy się w panu? A każda z nas starała się wkiadać na pana wykłady coś najlepszego z ubogiej wojennej garderoby. Ale pan i tak już wtedy wybrał swoją Olesię. Ja byłam najmłodsza i najbardziej zakochana: wstydziałam się, że tej wiosny tak oszalałam na zapach i biel kwitnącej jabłoni pod oknem, bzy wydają się tak piękne jak żadnego roku, choć wokół jest tyle nieszczęścia i grozy. Nie rozumiałam jeszcze wielu rzeczy, bo to było pierwszy raz, inne dziewczyny już dawno miały jakichś chłopaków. I trwało to bardzo długo, jeszcze kiedy w powojennej wędrownicy zaczepialiśmy się o całkiem różne miasta. A gdy przyjechałam do pana, żeby panu oświadczyć, że się z kimś zaręczyłam, kłamałam. Zrobiłam to tylko po to, żeby się przekonać, co pan powie na tę nowinę.

Odległy, zdeformowany ton muzyczny, który poprzedza spotkanie z kapitanem Asem.

„Jest jeszcze trochę wody w tej manierce...? Dziękuję. Ale ten ostatni łyk będzie dla pani. Trochę trudno mi pić, bo zęby mi tak szcękają. Co jest z tą moją nogą? Biodro i udo... Biegłem tak prędko. Pani widziała kiedy, jak ja biegam? Jak strzela! Czy boli? Tak... Ale to nic... naprawdę. Tylko te dreszcze... Tyle było krwi... Szrapnel. Taka czarna noc... Co tak miga? To rakiety... Gdzie ja jestem? Na Wilanowskiej? Nie, nie chcę na Mokotów... Czemu mnie tam niesiecie! Ja muszę zostać tutaj z nimi. Oni się jeszcze biją...”

Kapitanie As, kim byłeś teraz, a może kim jesteś teraz? Przecież nie mam żadnej pewności, bo potem zaraz nas rozłączyli, ale chodziły o tobie niepokojące wieści. Jaką miałbyś teraz twarz? Wtedy wszystko było białe albo czar-

ne, nie było barw szarych, niewyraźnych, zamazanych... Czy bylibyś inżynierem, artystą, a może uczonym odbywającym dalekie podróże z teczką pełną notatek i zapisków... A może pracujesz w kopalni lub hucie i wiesz dobrze, czego chcesz potrafisz stawiać żądania, nie bacząc na nikogo. A może wyjdiesz któregoś dnia z tych szarych wieżowców po drugiej stronie mojej ulicy, pralka, lodówka, telewizor, jakieś dzieci, to najmłodsze jeszcze w wózku...

Plan całkowicie realny. Ostry dzwonek telefonu. Podniesienie słuchawki.

Halo? Kto to? Kto mówi? Nie, nie poznaję. Nie, nie przypominam sobie głosu. Ach, to ty? Przyjechałeś. Przepraszam, ale minęło sporo czasu od chwili, kiedyśmy się widzieli ostatni raz. Na jeden dzień Masz tam stałą posadę... Nareszcie cię docenili? Widocznie, skoro tutaj nigdzie nie mogłeś się zaczepić. I ożeniłeś się... Dwoje? Te dziewczyny z tamtych małżeństw pewnie już dorosłe. Jesteś dziadkiem? Masz szczęście, rodzinny z ciebie człowiek. Musimy się zobaczyć? Czy masz do mnie jakiś interes? Chciałbyś tylko porozmawiać. Niestety, to nie jest możliwe, bo jestem bardzo zajęta. Cały dzień. Odświeżyć wspomnienia... Nie, ja raczej nie wspominam, albo rzadko. Może z braku czasu. Jestem niemiła? Po prostu szczerą. Nie, naprawdę nie mogę. Nie obrażaj się, to nie ma sensu. Może jak następnym razem przyjedziesz, ale za nic nie rękę. No, cześć, miej się dobrze, cześć.

Energiecznie odłożenie słuchawki.

Tak, bardzo rzadko ciebie wspominam, nie chciałam ci powiedzieć, że wcale. A kiedy się odpycha myśl o kimś czy o czymś, obrazy blakną i niszczą. Dopiero po tej rozmowie jeden pcha mi się przed oczy natarczywie i wyraziście. Wakacje. Ty nad morzem, a raczej w morzu. Brykasz radośnie wśród fal, kucnąłeś, znów się wynurzasz, teraz udajesz, że świetny pływak z ciebie, twoje ramiona wykonują ruchy żabki, podczas gdy ciężki tułów kolebie się po dnie. Potem bieg drobnym kroczeniem po plaży, na paluszkach, łokcie do siebie, tylko spojrzę, każda moja, a na każdą spojrzeć umiem. I letni romansik z mecenasową z kołami w uszach i złotym zębem na przodzie i moja niemądra do tego mina. I nasz powrót pociągami. Zanim ruszył, już wyciągasz suchy prowiant, który wręczono na odjeździe w domu wczasowym, rozpoczynasz konsumpcję, dzieląc się z przygodnym towarzyszem podróży, odbijasz ćwiartkę, teraz ją pijecie, obaj, w świetnej komitywie, w zgodzie ze światem i ze sobą. Więc dlaczego, dlaczego ja?... Co w tobie dojrzałam, czym mnie tak urzekłeś? Teraz zupełnie nie potrafię tego zrozumieć. Może to była samotność, a może odjazd kogoś w dalekie kraje bez perspektywy powrotu? Zaraz, zaraz, to ty mówiłeś „wywiórki” zamiast „wiewiórki”. Tak, jednak chyba ty, bo słyszę twój głos wymawiający te słowa, identyczny z tym, który zabrzmiał przed chwilą w słuchawce, realny i natarczywy.

Każdemu to, na czym mu najmniej zależy? Każdemu to, na czym mu wcale nie zależy, czego się wstydzi przed sobą i innymi, czego wspomnienie odpędza od siebie... Więc tylko twój głos usłyszałam naprawdę i twoje słowa, choć nie stawiałam pytań, podczas gdy od wszystkich tamtych, tylekroć przywoływanych, nigdy nie usłyszę odpowiedzi.

K o n i e c